

Grażyna Szymczyk-Kluszczyńska

Jadalna książka poetycka

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 1 (19), 137-143

1993

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Przechadzki

Grażyna Szymczyk-Kluszczyńska

Jadalna książka poetycka

Drogi Autorze,

nasze przypadkowe spotkanie na Dworcu Centralnym oraz wspólna podróż pociągiem znaczyły dla mnie wiele, *plus que ne vous le pensiez*, czy jakoś tak. Oto dowiedziałam się wówczas, że *Oko*¹ zostało już rzucone na rynek, acz tam jest nieosiągalne, i mogłam rozpocząć to spokojne, to pełne niecierpliwości czekanie na lekturę. Wiedziałam, że pewien młody człowiek, twórca m. in. opowiadania *No man's eye*, wcześniej czy później przyniesie mi je w rękach, by nie powiedzieć w zębach, tytułem ekspiacji.

Sądzę, że już wtedy byłam do lektury całkowicie przygotowana. Pozwolę sobie przypomnieć mój *entourage*: kapelusz z wietnamskiej słomki; tenisówki; kilka niezobowiązujących sztuk bagażu. Wyraźnie odczuwałam — skąd mogłeś o tym wiedzieć — brak tekturowej walizki, wytartej od spodu w czasie dwóch wyjazdów na kolonie.

Nawiasem mówiąc, walizki tej zostałam niedawno pozbawiona ostatecznie. Ale poszła w dobre dłonie.

Jedząc po kawałeczku Twoją książkę — gdyż istotnie dotarła do mnie wcześniej czy później, po dwóch miesiącach — jestem przekonana, że podaruję Ci butelkę po oranżadzie zamykaną na szklany kapsel przy

¹ Z. Batko *Oko*, Warszawa 1992.

pomocy zawilej drucianej konstrukcji. Spróbuję znaleźć w swej kolekcji taką w kolorze butelkowym. Niewykluczone też, że wewnątrz będzie sok malinowy; ale nie obiecuj sobie za wiele.

Stopniowo nabieram pewności, iż to dla lepszego przyjęcia Twego *Oka*, i w oczekiwaniu nań, budowałam ganek, rękami czarnymi od pługa, trochę własnymi a bardziej nie. Nadzwyczaj lekko pisze się z niego listy. Zwoje papierusów wychodzą za okno. Ganek jest w stylu rustykalnym; minąwszy czterdziestą stronę książki poważnie zastanawiam się nad malwami (posadzić albo nie posadzić?). Tak, jestem pewna: wszystko zmierzało do *Oka*, by w nim uchylić sprzeczności.

Oto wybrane elementy Wszystkiego, które niechaj przybliżą Ci sceneryę, w jakiej jeden z szarych² czytelników drobi maleńkimi kroczkami w stronę Absolutu, wspomagany — jakże by inaczej — *Okiem*.

Z obramowanego tefladunkiem okienka wygląda słoń, i wygląda równie pięknie, gdy patrzymy od środka, jak i od zewnątrz. Różowy na powrót, nocami dosycha przy kuchence gazowej. (Skończyła się bowiem pogoda idealna na naturalne suszenie słońi.) Gdzie indziej schną trociny, które posłużą do przywrócenia mu godnej postawy. Dziś przejrzał — w środku czarnych guziczków umieściłam żdźbła pasty do zębów FLUORODENT, składającej się głównie z kredy. Przypadek zrządził (czy dobry los?), że na szlichcie stoją szklane klosze pełne jarzębiny. Słoń ma zatem to, czego potrzebuje najbardziej: poczucie bezpieczeństwa.

Jarzębina i inne zioła w wiklinowych koszyczkach zdobią ściany. Na nie heblowanej belce stoi żółt, uwity z kitu do okien — symbol prac budowlanych. Obok papier ścierny, a na nim czekająca na odrzewienie lokówka, po raz ostatni wtykana w węgle blisko cztery dziesiątki lat temu, gdy produkowały się Loki do Pierwszej Komunii.

Na zewnątrz plagi. Minione, bo okiełznane (mirabelki), trwające w bezruchu (drabiny różnej wysokości, dziewięć sztuk, w tym jedna podwójna zielona) lub oczekiwane (brzoskwinie). Można by sądzić, że najbardziej niebezpieczne, bo nieruchome, są drabiny — ale i z mirabelkami wyglądało groźnie: zaczęły już turlać się z końca ogrodu pod ganek. Gdy zobaczyłam pierwszą, wezwałam na pomoc sąsiadów. Teraz ostat-

² Patrz waciak na zdjęciu. [Wyjaśnienie. Rękopiśmiennemu oryginałowi listu w postaci zwoju długości dwa i pół metra towarzyszyła kolorowa fotografia Czytelniczki zbierającej mirabelki. Inskrypcja na odwrocie zdjęcia brzmiała mniej więcej: „Patrz, na gałąź wraca kwiat zerwany. Żal, że to mirabelka”.]

nie dogorywają w garnku. W tej szerokości geograficznej ROBI SIĘ konfitury.

Jeszcze jedna plaga, notoryczna: drewno. Dawno już poddane logicznemu podziałowi na: a) dla Kazia, b) pod krajegeę, c) zostawić — w punktach b) i c) wciąż spoczywa opodal widokowego centrum podwórka. (Uwaga na marginesie. Czy Autor rzeczywisty pomyślał w tym miejscu, że chcą go zrobić w pomoc przy wkładaniu drewna do komórek? Chodzi o to, CZY pomyślał. I tak sama powrzucam, niech tylko się ociepli.)

Za płotem z prawej Meksykanin pilnuje od świtu do nocy wiecznego ognia, na którym topi się świńskie sadło, z tłuszczu zaś powstają lampki nagrobkowe. Albowiem wkrótce zaczyna się tu se-zon.

W warzywniku 1,5 m × 2 m rośnie marchew, nie opisana w książce Zbigniewa Batki *Z powrotem*³: marchew słupekowa (byłam!). *Oko* otwierałam początkowo ostrożnie. Przez kilka dni otwierałam i zamykałam, nie czytając. Teraz mogę już powiedzieć wprost: obawiam się, niestety, że książka BĘDZIE przedmiotem analiz uniwersyteckich. Dysertacji. (*Oko* a Georges Bataille; a Jacques Derrida; a Maurice Merleau-Ponty, by poprzestać na Francuzach. Sam tego chciałeś. Nie należało wpuszczać się w „oko”). Może nawet rozdziału rozprawy habilitacyjnej. Beckett i Batko w jednej bibliotece — nic to w porównaniu z: Kristeva i Batko. O tym za chwilę; na razie przedłożmy próbę Dyseminacji. Roznasienimy pierwsze reklamowe hasło z okładki: „Kto raz otworzy *Oko*, już go nie zamknie”. Kto raz otworzy oko, już go nie zamknie. Przecież to propozycja śmierci na żywo. A *Oko* żyje, właśnie dzięki temu, że można je otwierać i zamykać. Zmieniam hasło. Obecnie brzmi ono: „Otwórz *Oko* na chybił trafił”. Gdy trafił, może obżerać się nieprzytomnie rodzyнками. *Oko* jest bowiem jadalne jak ciasto drożdżowe: najpierw rodzyнки, potem kawałeczki w dowolnej kolejności. Okruchy do wyrzucenia ptakom. Lektura linearna funduje mu zakalec. (Kto nie lubi słodkiego, może zamiast wyobrazić sobie chleb z kiełbasą, odsuwaną w miarę jedzenia, by na dłużej starczyło. Wtedy skwarki = rodzyнки, ale szlag trafia zakalec.)

Gdy trafił, czyta początek trzeciego rozdziału części *Ad Astrea*: „Gospodarz schroniska Perskie Oko w Perskim Oku stał w otwartym oknie

³ Z. Batko *Z powrotem, czyli fatalne skutki niewłaściwych lektur*, Warszawa 1984; zob. s. 159.

i spoglądał gospodarskim okiem na Perskie Oko”. Powiedzcie to, proszę, po (miejsce na nazwę wybranego języka obcego).

Mała korekta do „obżerać się nieprzytomnie”. Ostrożności. Ty sam, Autorze, przestrzegasz przed nieumiarkowaniem w konsumpcji pokazując, jak dławią się symetrycznie: Sonia, dzikus w świecie kultury „wysokiej”, oraz Dzikus Dziesiątka w świecie Soni i jej towarzyszy. Ona — mieszańką przeczytanego a nie zrozumianego (Fil jej to wytłumaczy?), Dziesiątka — astrachańskim kawiozem.

Julia Kristeva dowodzi, że poezją rządzi Prawo Nieprzemienności Miejsc. *Oko* respektuje to prawo, *ergo* jest książką poetycką: nic dodać, jeszcze odrobinę ująć; trudno przekładalną na obcy język. Pomyślmy: francuski? Roztopią się inkrustacje francuszczyzną. Jakikolwiek inny? Trzeba by stworzyć na nowo subtelne gry dźwięków; odpowiedniości dla mi-ma pi-pi: „*teraz minister trzymał magazynek, a pilot pistolet*”; repliki już odświeżonych idiomów.

Drogi Autorze. Czy wolno mi zgadnąć na temat osobisty? Do trzech razy: Skorpion? Wodnik? Strzelec? (pudło?!). A też, mieć osobistą prośbę: czy zechciałbyś napisać swoją powieść jeszcze raz, po angielsku? Osa-dziłeś ją w polszczyźnie tak szczelnie, że została skazana na odbiorczą zaściankowość. W najlepszym razie przerobią *Oko* na komiks albo na film, i tyle go widzieli, zobaczysz.

Nowa wersja mogłaby nosić tytuł *Ucho*. Obecny tytuł jest mylący: podobnie jak okładka (notabene najpiękniejsza od czasów wydania SPONAD Przybosia w Bibliotece „a. r.”, tj. od 1929 r.; dzięki niej miło wziąć *Oko* w rękę) aktywizuje wzrok, z pominięciem słuchu, który okazuje się zmysłem równie niezbędnym co pozostałe dla pełnego *Delectare*.

Oko tedy to jadalna książka poetycka. Świat kreowanej fikcji zakorze-niony jest w języku; nie wiemy już, co było logicznie wcześniejsze. Wolff pojawia się jako jednooki najpierw w porządku narracji, po to, by następnie możliwe było: „dodała, patrząc mu głęboko w oko”. Łabędź na kapeluszu markizy de Sadowskiej — ot, banalny element *décor* — wystrzeli w ostatnim akcie, okaże się niezbędny dla usprawiedliwienia życiowej „pomyłki” Markiza: zabił małżonkę w czasie polowania, wzięwszy łabędzia za kaczkę...

Kristeva Rediviva. Z kolei ta u nas nie znana, która też próbowała poezją. Oto początek jej skądinąd doskonałej książki *Étrangers à nous-mêmes*, rozdział *Toccata i fuga dla obcego*:

Obcy: wścickłość tłumiona w gardle, czarny anioł zakłócający to, co jasne; nieprzenikniony, tajemniczy ślad. Jako figura wrogości i Innego, obcy nie jest ani romantyczną ofiarą naszego rodzinnego lenistwa, ani też intruzem odpowiedzialnym za wszelkie zło w państwie. Nie jest ani stającym się objawieniem, ani bezpośrednim przeciwnikiem, którego należy usunąć celem przywrócenia społecznego spokoju. Może to wydać się dziwne i obce, ale obcy mieszka w nas: stanowi ukrytą stronę naszej osobowości, przestrzeń burzącą przyzwyczajenia, czas, gdy zostaje zniszczone porozumienie i sympatia.⁴

Sonia, podobnie jak jej pierwowzór (NIE jest nim Julia Kristeva, jako Osoba obdarzona poczuciem humoru; można oczekiwać, że właśnie jako osoba z radością przyjęłaby tę oto próbkę Twego pastelowego dowcipu: „Pani Szaterhand puściła się na przełaj ku pałacowi, nie zapominając o znaczeniu drogi powrotnej głębokimi nagryzieniami na korze drzew”) — Sonia tedy wlecze za sobą w partiach narracyjnych smugę mdłej, stoiskowej literatury:

Sonia uniosła głowę znad kart i spojrzała na niego z uwielbieniem. Ciągłe odkrywała w tym człowieku coś nowego, ciągle poznawała go lepiej, choć nigdy do końca.

Twoje wnętrze, o jakże Wewnętrzny Autorze, jest jednak „jasne i dojrzałe przedwcześnie” (pożyczam od Mariana Grześczaka, chyba), dlatego uprzednio kazałeś ministrowi rozmawiać z Filem o zaparciach.

W tym kontekście poetyckość eseju Kristevej można podać w wątpliwość. Dobrze zrobiłby mu jakiś wychodek, na który mogłaby nawet wskazać krągłym podbródkiem (zaprzyjaźniony z autorką *Recherches pour une sémanalyse* odbiorca, który uzna ostatnie sformułowanie za nietaktowne, proszony jest o otwarcie *Oka* na s. . . .). Nic z tego — do końca utrzyma wysokie „c” i arystotelesowsko-kartezjańską logikę. Twoja jest logiką wybornego trupa (*cadavre exquis*): „Głód, szlif, równe powierzchnie bez skaz, pęknięć i załamań były jego obsesją. Dla tego też (podkreślenie moje — Czytelniczka), choć od góry kompletnie ubrany (...) — od dołu miał na sobie jedynie bieliznę”. Tak pisał Breton w *Rozpuszczalnej rybie*, w jednym z naj-tekstów z tego zbioru, zaczynającym się od: „Był sobie raz indyk na grobli” (*Il était une fois un dindon sur la digue*).

Zastanówmy się teraz, do kogo adresowane jest *Oko*? Do zwyczajcy quizu, w którym padły pytania:

co to jest v-Effekt?

a „Środek Europy”?

⁴ J. Kristeva *Étrangers à nous-mêmes*, Paris 1991, s. 9.

jakie cygara palił Hans Castorp?

co napisał Truman Capote? itd. Do zdobywcy pierwszej nagrody w konkursie na bon-moty stymulowane słowem „oko”.

Upojony zwycięzca zzuł buty i boso już a bezszelestnie spacerował po miękkim dywanie swego Gabinetu. Nalał herbatę (mieszanka, uzyskana w natchnieniu z dostępnych na rynku) do dużych, fajansowych (majolikowych?! Coś kręcisz z tą świnią!) filiżanek, stojących na lnianym obrusie w biało-czerwoną (-brązową, -zieloną itd.) kratkę (...). Ach, jak nas dużo w tej samej książce! I jak dobrze, że ktoś ją dla / za nas napisał! Przerażliwie intertekstualne *Oko* powstało w istocie z czytania rzeczywistości. Jego tworzywem jest rzeczywistość tyleż wykreowana, co przekopiana. Pobuszujmy i my, w radiu.

Oto Top Twenty po rosyjsku: „*piat' let tomu nazad była Madona s piesniej (...). Mienia zowut Toni Kiejdż...*”, i Sejm, *toujours* po polsku. Sporządziłam stenogram obrad. Podaję fragmenty.

MARSZAŁEK: Pan poseł Dziubek w sprawie formalnej.

POSEŁ DZ.: — De facto wniosek pana posła O. jest wnioskiem o głosowanie rozdzielne. My jesteśmy za tym, żeby razem.

KTOŚ: — Poseł M. kiedyś kwestionował, że minister ma nieładne oczy...

KTOŚ [Marszałek?]: Pan poseł podniósł wniosek najdalej idący — o odrzucenie wszystkich wniosków łącznie.

[Z offu] Po ogłoszeniu przerwania głosowania natychmiast ponownie zgłosił się do głosu poseł Sz.

PAN POSEŁ C.: — zgr...zgrzr... nad takim sposobem głosowania, nasz klub prosi przerwę.

MARSZAŁEK: — Zarządzam przerwę! Zwoluję konwent seniorów!

[Po przerwie]

MARSZAŁEK: — Ale bardzo proszę, żebyście państwo już zajmowali miejsca. Potem można będzie zebranie sobie robić, będzie przerwa półgodzinna [chrząka] [długa cisza] — Yy... Wysoka Izbo y... [chrząka] wznawiam obrady i trudno jest mi dojść, na czym polega [...].

Trudno jest mi dojść, na czym polega. Jedyne wnioski, jakie udało mi się wysnuć, nie będzie odkryciem.

Oto osiągnęliśmy, realni i potencjalni czytelnicy *Oka*, punkt, w którym to, co rzeczywiste i to, co wykreowane, przestaje być postrzegane jako antynomia. Skrupulatnie opisane tu detale (zioła, marchew, słoń, radio itp.) dowodzą, że można umościć się całkiem wygodnie w fikcji.

Jako czytelnicze indywiduum natomiast — czuję, że niteczki mojego życia zbiegają się w jednym miejscu. Jest to Centrum widzialne i nazywalne: MYSZ, przycupnięta na kaflach węglowej kuchni. Razem sprzątamy, od trzeciej nad ranem.

Często myślałam o tamtej chwili. Pewnego razu jakiś zgrzyt wdarł się do fonii przywołanego obrazu. To zatrzasnęła się sukcesywnie pałapka na myszy, ustawiona na podłodze obok lodówki.

Dalszy kontakt z *Okiem* staje się niepokojąco metafizyczny. Oto bowiem o godz. 21.25 w trakcie porządkowania szufladki stolika od głuchoniego telewizora znalazłam w niej **oko**. Okrągłe (*sic!*), średnicy ok. półtora centymetra, z rozszerzoną czarną źrenicą w bursztynowej obwódce. Lekkie, bo plastikowe. Należało pewnie do któregoś z tych obrzydliwych, pluszowych w łopatki i wiaderka, zwierzątek. Może do słonia (mam go serdecznie dosyć — pałęta się ciągle jeszcze wilgotny po kuchenkach i suszarkach do naczyń). W zasadzie jest bardzo zajęcze. No, nie znam się.

Poleciałam znowu do szufladki. Tam **nie było** drugiego oka. Nic dziwnego; patrzę teraz na pierwsze, leżące obok moich okularów. Oko i oprawka są z identycznego materiału i tej samej barwy; mam trzecie oko dla dwóch ślepych szkiełek. Dzięki Ci, Panie! Pochwalę Cię na cytrze i harfie.

Czym wytłumaczyć fakt, że list, powstający równoległe do lektury książki, już *a priori* był jej plagiatem? Jak przekonać kogokolwiek, że do czyszczenia zębów służyła w domu pasta COLGATE, fluorodent jedynie pisał źrenicę w oku lub zamalowywał szpary w glazurze; że słowo „ekspiacja” użyte we wstępie, odkryłam n a s t ę p n i e na okładce, zaś o ganku mówiłam „rustykalny” z a n i m w *Oku* pojawiła się stodoła? Niedawno przekonywano mnie, że w schemacie Jakobsona istnieje językowa funkcja empatyczna. Próbowałam wyprowadzić rozmówcę z błędu. Teraz wiem, że to ja się myliłam. Można przecież z łatwością pisać (list) *Okiem!* Tak!! Lekko, a nawet posuwać się, że ślizgiem pióra kulkowego!!! I t y m o ż e s z z o s t a ć K r ó l i k i e m!!!⁵

Guzik, a raczej plastikowe oko — wobec Wiecznotrwałe Szklanego.

Czytelniczka

⁵ Aluzja do ulubionej recenzji Autora ze *Z powrotem*.